



EQUETRIP

ROZDZIAŁ D4–P

Tego dnia Psoras obudził się punktualnie o szóstej.

Nie spał zbyt mocno, ale nie było w tym nic niezwykłego. Tego dnia miał pojechać do Fillydelfii pociągiem o jedenastej rano, a poczucie bliskiego wyjazdu zawsze powodowało, że łatwo go było obudzić. Bilet kupił sobie dwa dni wcześniej, kiedy to podjął decyzję o przedłużeniu pobytu w Manehattanie. Zrobił to na tej samej stacji, na którą przyjechał – Manehattan Central – ale kasjerka uprzejmie poinformowała go, że ten pociąg odjeżdża z innego manehattańskiego dworca, a mianowicie z Penny Station. Podróżnik wiedział, gdzie to jest – stacja była zaznaczona na mapach sieci metra – ale jeszcze tam nie był.

Equestriańskie koleje ku zaskoczeniu Psorasa okazały się być podzielone na całe mnóstwo spółek. Equestrian Railways obsługiwały najdłuższe trasy przecinające cały kraj oraz – wspólnie z operatorami sąsiednich krajów (Crystal Trains i Government Railways of Zebrica) – trasy zagraniczne. W kraju natomiast było prawdziwe zatrzęsienie przewoźników obsługujących bardziej lokalne połączenia, takich jak Manehattan & Short Island, Los Pegasus & Las Pegasus, Equestrian Express czy chociażby Southwest Trains, którymi miał się teraz zabrać Psoras. Jednak podział ten z punktu widzenia pasażerów był prawie niezauważalny. W całym kraju obowiązywała jednolita taryfa (choć przewoźnicy oferowali czasem własne promocje), w każdej kasie biletowej można było kupić bilet na pociąg każdej spółki, nawet kolorystyka pociągów bywała często zbliżona. Można było przejechać cały kraj jadąc dziesięcioma różnymi pociągami dziesięciu różnych spółek i nawet o tym nie wiedzieć. Chyba, że – tak jak Psoras – zawsze czytało się wszystkie napisy na bilecie i potrafiło się rozróżniać modele wagonów czy umundurowanie konduktorów.

Podróżnik wstał, założył okulary, zapiął zegarek na przedniej nodze i z czystego nawyku sprawdził, czy wszystkie rzeczy spakował do odpowiednich przegródek, choć po prawdzie to wiele tych rzeczy nie było.

W tym momencie uchyliła się jedna z tylnych płyt meblościanki i wyszedł zza niej Crescent. Starannie zamknął za sobą wejście do swojej kryjówki.

– Hej – szepnął. – Usłyszałem, że już nie śpisz, to pomyślałem, że się wymknę...

– Okej, nie powiem gospodarzom – odpowiedział szeptem Psoras. – A gdzie idziesz?

Znaczy, nie musisz mi mówić...

– Walczyć z Horseshoe Corporation – odszepnął Crescent i wyszedł przez okno, na żelazne zewnętrzne schody ewakuacyjne. Jakimś cudem udało mu się po nich zejść cicho jak trusia.

Psoras powoli podszedł do meblościanki i pchnął tom trzeci „Budowy i eksploatacji cepa”. Płyta odskoczyła jak poprzednio, ukazując ciemne wnętrze pokoju Crescenta. Miłośnik kolei podniósł do góry pokrowiec, który jednorożec narzucił na monitor, żeby mu nie świecił w oczy.

Jak tylko Psoras doszedł do wniosku, że działania Buildera wymierzone są przeciwko Mane6, a co ważniejsze – przeciwko jego kolegom, postanowił spróbować im w jakiś sposób przeciwdziałać. Na przeszkodzie stanął mu jednak fakt, że w pokoju praktycznie bez przerwy przebywał Crescent, a jednorożec i gospodarze stali na stanowisku, że komputery należą do Empire Buildera i że nie należy przy nich grzebać. Dopiero teraz nadarzyła się więc okazja, żeby namieszać w planach Buildera.

Najpierw Psoras chciał odciąć zasilanie do komputerów. Zanim jednak to zrobił, doszedł do wniosku, że w ten sposób zdemaskowałby go natychmiast brak szumu. A wczorajsza akcja ze śledzącą go Sunset nauczyła go respektu dla NLR-owców. Crescent może posłać teraz za nim kogoś, kogo Psoras nie będzie kojarzył z wyglądu... a jeśli miłośnik kolei wkurzy przywódcę NLR, to ten może wydać jakieś bardzo specjalne polecenie swojemu agentowi. Dlatego też podróżnik stwierdził, że lepsze będzie bardziej subtelne działanie.

O tej porze maszyna chodziła w zasadzie na jałowo. Wiatrak szumiał, ale na ekranie widać było tylko wykonane wcześniej zakłęcia i linuksowy znak dolara. Psoras nie do końca orientował się w komendach Linuxa. Na próbę wpisał polecenie „dir”.

```
$ dir
spell01.spl
spell01.run
spell02.spl
spell02.run
spell03.spl
spell03.run
spell04.spl
spell04.run
spell05.spl
spell05.run
spell06.spl
spell06.run
spell07.spl
spell07.run
spell08.spl
spell08.run
```

Było tego więcej. O wiele, wiele więcej. Spis plików zajął cały monitor i jeszcze więcej, a wszelkie ślady poprzedniej aktywności uciekły w górę. Przewijanie ekranu zatrzymało się, jak doszło do pliku numer 99.

– Sporo tego – mruknął Psoras. – Nie zdążę tego wszystkiego zneutralizować... ale chyba mogę zrobić mu drobnego psikusa. Jak się nazywał ten linuksowy notatnik? Chyba vim... – miłośnik kolei wziął w pysk pióro i zaczął starannie wciskać klawisze jeden po drugim.

```
$ vim spell55.sp1
```

```
sm transformation  
st -  
se tight_rope_tie _
```

– Fpróbujmy fo fodmienif – wymamrotał Psoras pod nosem. – Na cof zifnego...

Kilka minut później miłośnik kolei w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku naciągnął pokrowiec na monitor, po czym starannie zamknął ukryty za meblościanką pokój Crescenta. Kompilator bez problemu przełknął przerobione zaklęcie i przerobił je na zapis runiczny. Pozostawało mieć nadzieję, że Empire Builder niczego nie zauważy.

Poprzedniego wieczora Psoras opowiedział kolejną – ostatnią już – bajkę Cascades i Downeasterowi. Nie chciało mu się za bardzo, ale klaczka i ogierek nalegały, więc miłośnik kolei westchnął i przypomniał sobie kolejną historię, która dla rodowitych Equestrian brzmiała jak science-fiction. Tym razem była to wymyślona do potrzeb indoktrynacji protramwajowej – jeszcze za czasów bajek opowydanych siostrom – opowieść o grupie miłośników tramwajów, którzy w mieście opanowanym przez samochody (tu wyjaśnienie, co to właściwie są samochody) pod osłoną nocy przeprowadzili starannie przygotowaną, wieloaspektową rewolucję komunikacyjną. Wszystkie torowiska były już wydzielone, więc obejmowała ona przeprogramowanie sygnalizacji świetlnych oraz podmienienie rozkładów jazdy na przystankach i w zajezdniowych dyżurkach. Wskutek tych zmian tramwaje, które następnego dnia wyjechały w miasto, jeździły o wiele szybciej niż poprzednio, a ponieważ przejechanie od pętli do pętli zajmowało teraz mniej czasu, to przy takiej samej liczbie tramwajów w mieście wzrosła częstotliwość, z jaką pojawiały się na przystankach. Ów „terrorizm komunikacyjny” pozostał zresztą przez dłuższy czas niewykryty, jako że władarze miasta jeździli wyłącznie samochodami. Dopiero jak lokalne gazety rozpiwały się o tym, że tramwaje przyspieszyły i zwiększyły częstotliwość (a korki w mieście wzrosły bez żadnej widocznej przyczyny – by po tygodniu częściowo samoistnie zaniknąć, albowiem takie są prawa homeostazy ruchu drogowego), to oczywiście prezydent miasta zaczął twierdzić, że to wszystko jego zasługa.

Po powrocie z łazienki Psoras skontrolował po raz kolejny swoje bagaże i wyszedł na śniadanie z gospodarzami, którzy tymczasem zasiedli w jadalni. Na śniadanie były kanapki z rzeżuchą, które stały rozłożone równo na wielkim talerzu na środku stołu, a siedzący dookoła Coast Starlight, Keystone, Maple Leaf, Downeaster i Cascades jedli już swoje porcje.

– Dzień dobry wszystkim – powiedział, siadając przy stole. – Rozliczymy się po śniadaniu? – zapytał gospodarza.

– Taa – powiedział Keystone. – Dziś wyjeżdżasz, tak?

– Owszem – potwierdził Psoras.

– Naprawdę musisz? – spytała Coast z lekkim wyrzutem w głosie. Psoras umiechnął się.

– Nikt mi miecza nad głową nie trzyma, jeśli o to chodzi... ale mam tylko tydzień na zwiedzenie Equestrii. A na Manehattanie kraj się nie kończy. Chciałbym zobaczyć jeszcze coś więcej. Fillydelfia, Baltimore, Canterlot... Ciekawi mnie zwłaszcza Canterlot.

– Przereklamowany – stwierdziła Maple Leaf z lekceważeniem.

– Nie wykluczam tego. Ale pozwólcie mi rozczarować się osobiście – powiedział miłośnik kolei z uśmiechem.

– Jeszcze nie byłeś w Canterlot? – spytał nieoczekiwanie Downeaster. – A mówiłeś, że jesteś z Ponyville? To przecież niedaleko...

– Nie jest trudno spotkać w Ponyville osobę, która nigdy w życiu nie była nie tylko w Canterlot, ale w ogóle poza rogatkami miasteczka – odparł miłośnik kolei.

– A o której masz pociąg? – spytała Coast z ciekawością. – I skąd?

– O jedenastej z Penny Station.

– To ja cię odprowadzę na dworzec – zaofiarowała się klacz.

– Bardzo miło z twojej strony... – Psoras poczuł się trochę niezręcznie. Nie był pewien, czy to oznaka gościnności, czy czegoś więcej.

– Nie masz czasem dziś roboty? – zapytał gospodarz.

– Wzięłam wolne.

– Okej, dzieciaki – Maple Leaf wyszła do przedpokoju. – Pora iść do szkoły...

– Szkoda, że nie będziesz nam już opowiadał bajek – stwierdziła Cascades, wstając od stołu i kierując się do wyjścia. – W tych, co opowiada Coast, nie ma tyle zaawansowanych technologii przyszłości co w twoich...

– Wpadaj częściej – dodał Downeaster i ruszył za siostrą. – Cześć!

– Do widzenia! – pożegnał się wesoło Psoras. Drzwi się zatrzasnęły.

– Okej, to ja już zjadłem – stwierdził miłośnik kolei, wstając od stołu i wykładając dziewięćdziesiąt bitów. – To chyba będzie tyle, nie?

– Wiesz co... opuszczę ci sześćdziesiąt – stwierdził Keystone.

– Dlaczego? – zdziwił się Psoras.

– Za album ze zdjęciami waszej architektury – odpowiedział gospodarz. Podróżnik machnął kopytem z lekceważeniem.

– Niech pan bierze. I tak nie będę miał co zrobić z tymi pieniędzmi u siebie w domu. Nie da się ich wymienić na naszą walutę w żaden sposób.

– Aha. No to... chyba w porządku – gospodarz zgarnął ze stołu pieniądze i schował je.

– Chciałbym, żebyś przyjeżdżał częściej i wcale nie chodzi mi o te pieniądze. Po prostu... ciekawie było mieć cię w domu. No i ktoś żrebakom ciekawe bajki opowiadał... A poza tym chciałbym kiedyś zobaczyć twój świat...

– Wyślę pocztówkę – obiecał Psoras. – Co do tego ostatniego, zobaczymy, co da się zrobić. A teraz... mamy trzy godziny wolnego, to może puszczę jakieś piosenki od siebie?

Bateria empetrójki była wprawdzie już w połowie rozładowana, ale Psoras uznał, że obejdzie się bez muzyki, a Coast i Keystone być może już nigdy nie będą mieli okazji usłyszeć na przykład *Sultans Of Swing*.

– Puszczajcie sobie – powiedział Keystone wstając. – Ja muszę iść do roboty.

Okolo godziny dziesiątej Psoras i Coast wyszli na ulicę.

– *She's a killer queen, gunpowder gelatine, dynamite with a lazer beam, guaranteed to blow your mind, anytime!...* – podśpiewywała sobie Coast, kiedy szli tak wzdłuż 89. Ulicy. – To o Chrysalis?

– Wątpię... A czemu idziemy tutaj? – zapytał Psoras, gdy skręcili w 8. Aleję. Coast spojrzała na niego jak na wariata.

– Bo tędy się idzie do metra...

– Ale dziś linie 4, 5 i 6 są nieczynne.

– CO?!

– Roboty torowe. Ogłoszenia wisiały na stacjach.

– A oni myślą, że mam czas na czytanie jakichś bzdurnych ogłoszeń?! – spytała retorycznie rozdrażniona klacz. – Nie mogli przekazać konduktorom, żeby o tym mówili?

Psoras wzruszył ramionami. Jako osoba, która notorycznie wyczytywała wszystko, co było do czytania, nie identyfikował się z frustracjami swojej towarzyszki.

– To gdzie teraz? – spytał. – Do linii czerwonej?

– To chyba nie jest zły pomysł – powiedziała klacz. – Najlepiej wsiądźmy od razu na Osiemdziesiątej, to złapiemy ekspresa – dodała, po czym przeszła z chodnika na jezdnię i ruszyła klusem. Psoras ruszył za nią inochodem.

– Czemu nie podfruniesz sobie kawałek? – spytał po chwili miłośnik kolei.

– Temu – odpowiedziała klacz, wskazując w górę kopytem. Psoras podążył za jego ruchem i zobaczył pegaza, pędzącego z dużą prędkością między budynkami. Dopiero wtedy dotarło do niego, że nie widział na miejskim niebie pegazów w takiej liczbie, jaka wynikałaby z wielkości miasta. A kiedy już jakieś widział, to pędziły jak wariaci.

– Piraci powietrzni – stwierdziła Coast.

– Okradają inne pegazy?

– Nie, po prostu latają tak szybko, że mało kto chce ryzykować zderzenie z nimi. Najczęściej wieśniaki dofruwające do miasta do roboty – dodała lekceważąco. – I to wieśniaki najgorszego sortu, bo z Neigh Jersey. Myślą, że tu między wieżowcami można tak pędzić jak u nich... I będą tak myśleć do czasu, aż Straż Królewska ostro się za nich weźmie, bo sam fakt, że powodują wypadki, jakoś nie przemawia do ich wyobraźni. W ciągu ostatnich dwudziestu lat niesamowicie wzrosła liczba wypadków w mieście. Praktycznie codziennie zdarza się, że jakieś dwa pegazy wpadają na siebie i trafiają do szpitala... A ja nie chcę w tym uczestniczyć.

– Aha – mruknął Psoras. Pomyślał, że pewnie niejeden z tych „wieśniaków” urodził się w Manehattanie i nigdy w życiu nie widział, co jest za rogatkami miasta, a miejscowi zwykle czują się pewniej w znajomym terenie i chętniej w nim piracą, ale nie zamierzał teraz walczyć ze stereotypami. – A co na to przepisy?

– W zasadzie dopiero mają się za tę sprawę zabrać. Zanim w Manehattanie zaczęły się pojawiać wieżowce, za wysokie, żeby można się było nad nie szybko wznieść, problemu właściwie nie było, bo cały ruch odbywał się nad dachami budynków.

– A są jakieś przepisy dotyczące ruchu naziemnego?

– No ba – potwierdziła Coast, kiedy dwa kuce przecinały truchtem wylot bocznej uliczki.

– Musisz ustępować pierwszeństwa wyjeżdżając z podporządkowanej, która jest oznaczona białą linią odcinającą ją od głównej ulicy. Jeśli takiej linii nie ma, pierwszy przebiega ten, kto jako pierwszy pojawi się na skrzyżowaniu. Na chodnikach wolno się poruszać stępą, na jezdniach klusem w terenie zabudowanym, galopem poza nim...

– A inochodem?

– Co?! – klacz odwróciła się i z wrażenia potknęła się o własne nogi; chwilę trwało, zanim wróciła do równowagi. – Ty biegniesz inochodem? To jest...

Nagle Psoras usłyszał jakiś świst tuż za sobą. Odwrócił się i zobaczył, że w jego kierunku pędzi jakiś ciemnozielony pegaz z nożem w pysku. Zanim zdążył się zorientować, co się dzieje, górny pasek jego juków został przecięty i złodziej wraz ze swoim łupem odleciał wzdłuż alei.

– Oddawaj! – wrzasnął Psoras i ruszył galopem w sposób na pewno i zdecydowanie nieprzepisowy. Szybko rozpędził swoje cielsko do prędkości, jakich nigdy wcześniej nie osiągało o własnym napędzie.

– Łapać złodzieja! – dodała Coast, rzucając się w pościg.

Złodziej oczywiście nie miał zamiaru rezygnować z łupu i zapewne zniknąłby gdzieś za zakrętem ulicy albo w którymś z okolicznych podwórek. W tym jednak momencie zza węgła wyłonił się inny pegaz, szybko pędzący w jego stronę. Nie wiedział, że za chwilę może stać się przyczyną wypadku, a to dlatego, bo spoglądał akurat na odwróconą do niego zadem klacz jednorozca, stojącą przed jedną z wystaw.

Ciemnozielony pegaz chciał przelecieć nad nim górami, ale tę drogę blokował z kolei wielki szyld położonego w narożnej kamienicy baru. Na szczęście jednak dla niego cała sytuacja zdarzyła się nad wejściem do stacji metra. Złodziej szybko zanurkował pod ziemię. Za nim wpadła Coast, a rozpędzony Psoras pogalopował za nią.

Bramki w manehattańskim metrze zagradzały całą wysokość przejścia, co było zrozumiałe w świecie, w którym występowały pegazy. Ścigany celnie trafił monetą do otworu w locie, śmignął przez bramkę i wleciał prosto w otwarte drzwi pociągu linii ekspresowej. Coast zatrzymała się przed bramką i zaczęła przeszukiwać swoją torbę.

Nagle uzłyszała za sobą nieprzyjemny zgrzyt.

– SzlaaaaaaaAAG!!! – Psoras usiłował wyhamować w miejscu z prędkości około pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, do której, jak teraz zdał sobie sprawę, zupełnie nie był przyzwyczajony. Szorując wszystkimi czterema podkowami po wykafelkowanej posadzce, pędził prosto na Coast, która niczym zahipnotyzowana wpatrywała się nieruchomo w sunące w jej stronę sto trzydzieści kilo kuca ziemskiego. W ostatniej chwili kuc przeniósł ciężar swojego ciała na prawą stronę, skręcił i z impetem walnął bokiem w stalową kratę.

– Auć – mruknął, pocierając się po żebrach. Po drugiej stronie kraty pociąg zamknął drzwi i ruszył.

– No to spierniczył – mruknął miłośnik kolei.

– Rany... – Coast wciąż była w szoku.

– Nic ci nie jest? – rzucił Psoras.

– Mnie nie – klacz potrząsnęła głową. – Ale co z tobą?

– Ja też nic sobie nie zrobiłem. Trudno, jakoś odżaluję książki i kurtkę...

– To tam mało ważne. Najgorsze, że straciłeś pieniądze.

Psoras uśmiechnął się. Przesunął się za planszę reklamową Horseshoe Insurance, tak żeby nie było go widać z peronu. Rozejrzał się dyskretnie, a kiedy miał już pewność, że w pobliżu nikogo nie ma, otworzył obudowę aparatu. Klacz wytrzeszczyła oczy. W środku, oprócz cyfrowki, widać było empetrójkę, trochę drobnych pieniędzy, bilet kolejowy i... książeczkę czekową.

– Pamiętasz, jak twoja mama mi mówiła, że nie powinienem tak łązić po mieście z kupą kasy? Poszedłem wtedy po rozum do głowy i założyłem sobie konto w banku¹... W moich jukach nie ma teraz nic ciekawego dla złodzieja. – A przynajmniej nic, co byłoby widać na pierwszy rzut oka, dodał w myślach. – Gdyby nie to, że dziś wyjeżdżam, obszedłbym za jakąś godzinę okoliczne śmietniki i sprawdził, czy nie ma tam czasem porzuconych moich rzeczy...

– A co to jest? – klacz wskazała na wyświetlacz aparatu.

– To po prostu aparat fotograficzny z naszego świata.

– A jak działa? Bo wygląda inaczej niż znasz...

– Zaraz wytłumaczę – miłośnik kolei wyciągnął ze środka jednego bita, zatrzaskał obudowę aparatu i wrzucił monetę do krzyżaka. – Zamiast klasycznej kliszy masz elementy, które wytwarzają elektryczność, jak pada na nie światło. A cała reszta to kwestia odpowiedniego przetworzenia...

Dwie minuty później, kiedy ciemność tunelu rozświetlał już reflektor następnego pociągu, Psorasowi wpadł do głowy pewien pomysł. Pomysł ten był tak dziwaczny, tak szalony i tak niezwykły, że miłośnik kolei zdecydował się wprowadzić go w życie. I to natychmiast, zanim wróci mu zdrowy rozsądek.

– Uważaj – powiedział szeptem do Coast. – To, co zaraz zrobię, może sprawić, że nie będziesz przez jakiś czas chciała przyznawać się do jakiegokolwiek znajomości ze mną.

– Co takiego?! – niebieska klacz rzuciła mu zaskoczone spojrzenie.

¹ Zanim ktoś się czepnie: tak, w mojej interpretacji Equestrii nie ma obowiązkowych dowodów osobistych. I jeśli ktoś się zastanawia, jak w tych warunkach mają działać banki, pozwolę sobie poinformować go uprzejmie, że przed drugą wojną światową w Polsce też nie było dowodów osobistych, a banki były.

– Spokojnie, nikogo nie zamorduję ani nie zrobię nic niemoralnego. Przynajmniej nie w ścisłym sensie. A teraz szybko, zanim dotrze do nas, że to bez sensu! – szepnął z dzikim uśmiechem na twarzy i wkroczył do wagonu, który właśnie zahamował przy krawędzi peronu i otworzył drzwi. Zdezorientowana Coast ruszyła za nim.

Drzwi zamknęły się, a pociąg ruszył. Gdy pochłonęła go ciemna czeluść tunelu, Psoras stanął na środku wagonu i kiwając się do rytmu, zaczął śpiewać na cały wagon na [melodie z filmu Olivier i spółka](#):

*W tym mieście jestem pierwszy raz,
Lecz nie zabłądzę, nie martwcie się.
Choć krócej jestem tu od was,
To wiem jak trafić tam gdzie chcę.*

*Łu, u, u, ó, u,
Pod ziemią sobie tory są,
Łu, u, u, ó, u,
Pod ziemią po nich pociągi jeżdżą!*

Coast patrzyła zbaraniałym wzrokiem na Psorasa, podobnie zresztą jak większość pasażerów wagonu. Były jednak wyjątki – kilku pasażerów śledziło rozwój sytuacji z wyraźnym rozbawieniem, a kłacz–staruszka, siedząca niedaleko śpiewającego miłośnika kolei, uśmiechała się i kiwała rytmicznie na boki. Psoras przeszedł do refrenu:

*Dlaczego miałbym więc martwić się?
Ulic wprowadzie nie znam, lecz znam metra mapę,
Dlaczego miałbym przejmować się?
Mniejsza o tłok w górze tam, ja dojeżdżam gdzie chcę, mhm...*

Psoras, szczerząc w uśmiechu wszystkie zęby, skinął staruszce i dynamicznie zaśpiewał:

*Bo metro to jest metro, jak wejdiesz, wszystko wiesz,
I to na całym świecie, i w innych światach te–e–eż!*

W tym momencie przyłączyło się kilku kolejnych pasażerów – tych, którzy od początku wydawali się mieć ubaw z całej sytuacji – a czarny ogier ziemski z czapką założoną na bakier i ze złotym łańcuchem na szyi zaczął bębnić do rytmu na poręczach wagonu.

*Dlaczego miałbym więc martwić się?
Nie wiem co tam na górze, lecz znam metra mapę,
Dlaczego miałbym przejmować się?
Mniejsza o tłok w górze tam, ja dojeżdżam gdzie chcę!*

Tym razem trzy kłacze siedzące tyłem do okna zaśpiewały chórem:

Tunel tu, tunel tam...

Psoras dokończył:

A na tym, co w tunelach jeździ, ja się dobrze znam!

Teraz śpiewał już cały wagon. Wszystkie kuce z uśmiechami na pyskach podjęły piosenkę. Oprócz Coast Starlight, która zamarła z opadniętą szczęką.

Dlaczego miałbym więc martwić się?

Mniejsza o tłok w górze tam, ja dojeżdżam gdzie chcę...

Na stację metra „43rd Street – Penny Station” wjechał pociąg i otworzył drzwi. Wysiadło z niego sporo pasażerów, między innymi spory niebieski ogier ziemski z kremową grzywą, pchając przed sobą także niebieską klacz pegaza, która sprawiała wrażenie, jakby mózg jej się zawiesił.

Psoras siadł przed Coast Starlight i spojrzał jej zaniepokojony prosto w oczy.

– Coast? – spytał z troską. – Wszystko w porządku?

– Czy... czy to się właśnie wydarzyło?! – wykrztusiła z siebie wreszcie klacz. – Czy naprawdę cały wagon śpiewał właśnie piosenkę, którą ty wymyśliłeś? Piosenkę o metrze?! I... czy naprawdę te trzy klacze spod okna wiedziały, co śpiewać, choć nie miały skąd znać słów? A może... – Coast rzuciła Psorasowi podejrzliwe spojrzenie – ...ty to wszystko zorganizowałeś? Albo użyłeś jakichś kosmicznych mocy, żeby zahipnotyzować tłum?

– Nie – odparł Psoras, szczerząc się jak wariat i ruszając w kierunku wykafelkowanego korytarza, nad którym było napisane „To the Penny Station”. – To był stuprocentowy spontan. Piosenkę zmyśliłem na poczekaniu, a melodię zerznąłem z jednego filmu. A potem zacząłem się zastanawiać, co by było, jakbym ją zaśpiewał publicznie i czy w Equestrii rzeczywiście jest tak, jak w serialu animowanym o niej – że jak Pinkie Pie zacznie śpiewać, to od razu przyłącza się do niej całe Ponyville? No i nie zostało mi nic innego jak sprawdzić... Ty się ciesz, że ja tam *Caramelldansen* nie zacząłem tańczyć, bo to też chodziło mi po głowie.

– Chłopie... ja się ciebie boję – mruknęła klacz, idąc za nim. – Ty chyba zaginasz rzeczywistość dookoła siebie... Ja jeszcze nigdy niczego takiego nie widziałam, a mieszkam w tym mieście od urodzenia.

– Może po prostu nie próbowałaś?

– No fakt, nie próbowałam... bo to idiotyczne i nie ma prawa zadziałać.

– A skąd to wiesz, skoro nie próbowałaś? – Psoras z niezmiennym wyszczerzem na pysku szedł przed siebie coraz szerszym i coraz bardziej zatłoczonym korytarzem, do którego tymczasem przyłączały się inne. Nagle wytrzeszczył oczy.

– OJACIEKURDWANÓWKREĆCĘ!!! – zawołał po polsku.

Przyczyną takiej reakcji był fakt, że miłośnik kolei i towarzysząca mu klacz wyszli właśnie prosto na szeroką kładkę, która biegła nad peronami dużej stacji kolejowej. Całość położona była w wysokiej na kilkanaście metrów hali peronowej o przeszklonym, łukowatym dachu rozpiętym na potężnych, ozdobnych, żelaznych łukach. Hala wyglądała jak kilkakrotnie powiększona hala peronowa wrocławskiego Dworca Głównego, a perony poniżej – występujące w liczbie około dwudziestu – były, podobnie jak w metrze, znacznie węższe, niż to się przyjęło na polskich kolejach i mieściły się po kilka pod każdym łukiem hali. Nad nimi wisiał rząd gigantycznych zegarów z tarczami z czterech stron, a buchające parą pociągi bez przerwy przyjeżdżały i odjeżdżały. Po kładce i schodach prowadzących na perony maszerowały tłumy kuców. Widok był doprawdy imponujący, zwłaszcza, że projektant darował sobie typowy różowo-kiczowaty equestriański styl i najwyraźniej postanowił zrobić coś bardziej w stylu dziewiętnastowiecznego angielskiego industrializmu.

Psoras stał przez kilkanaście sekund z opadniętą szczęką na kładce i gapił się bez

słowa na halę peronową, podczas gdy obok niego przewalał się tłum kuców. Tym razem to Coast zaniepokojona spojrzała mu w oczy.

– Iron Track? Eee... wszystko w porządku?

Psoras potrząsnął głową i dopiero wtedy zorientował się, że przed chwilą z kącika pyska ciekła mu strużka śliny. Otarł ją przednią nogą.

– Eee... tak. Po prostu... jeszcze nigdy nie widziałem AŻ TAK imponującego dworca, a widziałem ich wiele – miłośnik kolei podniósł aparat i uwiecznił widok. – Rany julek, to wygląda wspaniale...

– A, tak. Mówiłeś już, że pierwszy raz jesteś na tej stacji...

– O do jasnej ciasnej, to DREWNIANE PRAGOTRONY!!!

– Drewniane co?

– To! – Psoras wskazał na wiszącą pod sufitem hali wielką, zbiorczą i paletową tablicę informacyjną, wyposażoną w klapki z literami i wskazującą kierunki, w jakich przyjeżdżały i odjeżdżały pociągi. Była podobna do tych z polskich dworców, ale znacznie większa i, zgodnie ze spostrzeżeniem miłośnika kolei, zrobiona z drewna. Po kładce prowadzącej na wąski metalowy podest pod tablicą przebiegła dudniąc kopytami po żelazie młoda klacz ziemiska w kolejarskim mundurze, niosąc w pysku kilka papierów. Stojący na podeście jednorożec przejął je przy pomocy telekinezy i przeczytał, po czym strzelił w tablicę magią z rogu. Podróżnik patrzył oczarowany, jak widoczny na górze napis „BALTIMARE 10:28A 17” zniknął z grzechotem tasujących się kłapek z literami, które po dłuższej chwili uspokoiły się i wyświetliły „LAS PEGASUS 10:37A 8”, napis identyczny z tym poniżej. Jednorożec skinął głową z zadowoleniem, po czym strzelił w tablicę kolejnym czarem, tym razem wyraźnie dłuższym. Cała reszta kłapek na tablicy zaczęła wirować z donośnym grzechotem.

– Znowu się ślinisz – stwierdziła Coast.

– Cococo?... Eee... – Psoras pośpiesznie zamknął pysk i potrząsnął głową. – Przepraszam... Ten dworzec tak na mnie działa. On stanowi tak niesamowity skumulowany ładunek zarębistości², że równoważy całe zło świata. Poprawka, całe zło dwóch światów. Twojego i mojego...

Klacz uśmiechnęła się do niego.

– Miło wiedzieć, że nasz świat też potrafi ci czymś zaimponować.

– Zaimponować to mało powiedziane. To mnie po prostu zważyło z nóg – Psoras potrząsnął głową. – Dobra, mam jeszcze gdzieś tak z pół godziny do odjazdu... Co powiesz na to, żeby co zjeść?

– Jeszcze za wcześnie na obiad – zauważyła przytomnie klacz.

– Masz absosmerfną rację – zgodził się Psoras.

– Abso...co?

– Absolutną. Ale wolę się najeść na zapas – stwierdził miłośnik kolei, po czym zszedł z kładki do tunelu i skręcił w lewo. – A poza tym możesz mi zadać jeszcze jakieś pytania o mój świat...

– Ale to miejsce publiczne! A jak nas ktoś zapyta, o czym mówimy? – Coast szła za nim zaniepokojona.

– Powiemy, że jestem pisarzem i wymyślam fikcyjne światy – odpowiedział bez zastanowienia podróżnik. Skręcił po raz kolejny i wyszedł po schodach do góry. Klatka schodowa niespodziewanie otworzyła się na halę główną.

Była ona ogromna i imponująca. A do tego była bogato zdobiona. Rzeźby i złocenia były na każdej możliwej powierzchni, tak że Psoras czuł się jak w jakimś barokowym kościele. Kościoły z rzędem kas na jednej ścianie i pasażami handlowymi po obu stronach

² Rozmowa odbywała się po angielsku i słowo „zarębistość” to po prostu toporne tłumaczenie słowa *awesomeness*.

nawy głównej.

– Niczego sobie – stwierdził, zmierzając w kierunku oddziału Horseshoe Bank i przygotowując książeczkę czekową. – Ale nie ma tego współczynnika zarębistości, co hala peronowa...

Niecałe pół godziny później Psoras i Coast stali na peronie.

– No, to chyba pora powiedzieć sobie „do widzenia” – stwierdził Psoras.

– Niestety – westchnęła klacz. – Szkoda, że nie zostajesz trochę dłużej. Dowiedziałabym się czegoś jeszcze o twoim świecie – mruknęła pod nosem. – To było niezmiernie ciekawe... Zwłaszcza ta część o urbanistyce miasta Birmingham³.

– Ja też lubię o tym opowiadać. Ale, tak jak powiedziałem, mam tydzień, a Equestria na Manehattanie się nie kończy. Więc... na razie.

– Na razie – odpowiedziała klacz, wyciągając w jego stronę przednią nogę. Uścisnęli sobie kopyta wyjątkowo długo i serdecznie, po czym Psoras wsiadł do wagonu, zamknął za sobą drzwi i rzucił Coast ostatnie spojrzenie. Konduktor stojący przy innym wagonie dmuchnął w gwizdek. Klacz odsunęła się od krawędzi peronu i patrzyła, jak pociąg rusza z miejsca.

– Ech, szkoda, że nie został trochę dłużej – mruknęła sama do siebie. – Jeszcze trochę, a powstałoby między nami silne połączenie emocjonalne, a wspólne spędzanie czasu spowodowałoby w końcu pojawienie się między nami napięcia seksualnego... no i przyjaźń rozwinęłaby się w związek – klacz uśmiechnęła się do siebie. – Przy odrobinie szczęścia nie chciałby już stąd wyjeżdżać...

Tym razem Psoras jako jedyny w wagonie miał dla siebie całą „czwórkę” siedzeń. Ulokował się więc tak, aby podmuch powietrza z otwartego okna przyjemnie chłodził mu pysk. Musiał przyznać, że drewniane wagony miały swoje zalety. Na przykład nie nagrzewały się w słońcu tak jak metalowe. No i ładnie pachniały.

Podróżnik intensywnie myślał. Teraz, kiedy zaczął zwracać na to uwagę, zauważył, że Horseshoe Corporation pod różnymi postaciami wydaje się być wszechobecna w Equestrii. Nie chodziło tylko o reklamy czy często powtarzający się w różnych miejscach motyw podkowy. Psoras z niemalym zdziwieniem zauważył wsiadając do wagonu niewielką tabliczkę nad drzwiami, która głosiła: „Wagon osobowy, Typ F, Horseshoe Railway Works, Fillydelfia, 2 ALC⁴”, a pod spodem drugą, mniejszą: „Własność Southwest Trains, członka Horseshoe Holding”. Musiał przyznać, że choć nie wiedział, czy Horseshoe Corporation jest rzeczywiście tak złowroga, jak wynikałoby to z podsłuchanej rozmowy NLR–owców, to na pewno była wielką, potężną korporacją.

Nagle drzwi przejścia międzywagonowego otworzyły się i weszła przez nie oliwkowozielona klacz jednorożca z jasnozieloną, równo i starannie przystrzyżoną grzywą. Na jej nosie widniały okulary w czarnych, prostokątnych oprawkach, co nadawało jej poważny wygląd. Miała na sobie białą koszulę w ciemnozielone prążki, czarną kamizelkę w jasne prążki i ciemnozielony krawat w jasnożółte prążki, co dobrze się komponowało z jej sierścią. Znacznikiem klaczy był symbol paragrafu. Obok niej lewitowała spora aktówka, otoczona magiczną aurą. Rozjerzała się po wagonie i podeszła do Psorasa.

– Przepraszam, czy tu wolne? – spytała.

³ Tu nie ma co opowiadać. Przyjedźcie i zobaczcie, jak niesamowicie popierdzielone pod względem urbanistycznym jest śródmieście tego miasta.

⁴ ALC – After Luna's Comeback (po powrocie Luny)

– Owszem – odparł uprzejmie miłośnik kolei. Nowo przybyła siadła naprzeciwko niego, położyła aktówkę obok siebie i natychmiast ją otworzyła, po czym wyciągnęła stamtąd wielki stos papierów. Podmuch powietrza natychmiast rozwiął je w powietrzu i porozrzucił po całym wagonie.

– Ojej! – krzyknęła i rzuciła się ratować kartki. Psoras natychmiast zatrzęsnał okno.

– Zamykać okna! – krzyknął na cały wagon. Kuce, o dziwo, posłuchały, po czym zaczęły zbierać papiery. Miłośnik kolei zabrał się za te spośród kartek, które znalazły się po jego stronie przegródki. Zebrał je do kupy, postukał nimi w ławkę, aby uformowały estetyczną stertę, po czym wręczył je klaczy.

– Proszę – powiedział.

– Ojej, dziękuję – odparła z wdzięcznością współpasażerka. Pasażerowie z innych przegródek przynieśli papiery, które przywiał do nich, kładąc je na jedną wielką stertę obok klaczy. – Dziękuję wam wszystkim...

– Może wypadaloby to czymś przycisnąć – zaproponował Psoras. – Bo przy tej temperaturze to długo my przy zamkniętych oknach nie wytrzymamy...

– Masz rację – zgodziła się klacz, wyciągając z dna aktówki szklaną półkulę z zatopionymi w środku kwiatami i stawiając ją na szczycie stosu. Psoras ponownie uchylił okno, tym razem nieco mniej niż poprzednio.

– Strasznie dziś jestem rozkojarzona... – usprawiedliwiała się klacz.

– A co, stało się coś? – zapytał miłośnik kolei, bardziej z uprzejmości niż z faktycznego zainteresowania.

– Owszem. O rany, od czego by tu zacząć... Lake Shore jestem – przedstawiła się współpasażerka.

– Iron Track.

– Miło mi poznać. Jestem prawnikiem z kancelarii Lawful&Strict i reprezentuję Horseshoe Corporation w sprawie przeciwko Manehattan Food Industries – stwierdziła Lake Shore i zamilkła, obserwując reakcję rozmówcy.

Psoras zastrzygł uszami. Czyżby właśnie zupełnym przypadkiem wpadł na kogoś, kto ma coś wspólnego z przypadkowo podsłuchaną przez niego rozmową w barze? W połączeniu z wcześniejszym przypadkowym znalezieniem przez niego komputerów, które przypadkowo okazały się należeć do kogoś planującego coś przeciwko Mane6, byłoby to już zdecydowanie za dużo przypadków.

– A o co chodzi w tej sprawie? – zapytał.

– Nie czytasz gazet? – odpowiedziała pytaniem zaskoczona klacz.

– Tak się składa, że nie. Z zagranicy jestem...

– No to zobacz – przed miłośnikiem kolei wylądował zwinięty w rulon egzemplarz „Manehattan Times”. Psoras rozwinął gazetę. Na pierwszej stronie wielkimi literami wybijał się tytuł: „HORSESHOE CORPORATION NISZCZY POZWAMI MANEHATTAN FOOD INDUSTRIES”. Niżej mniejszymi literami następował podtytuł: „Setki miejsc pracy zagrożone, groźba monopolizacji rynku spożywczego coraz bardziej realna”.

– Wygląda na to, że to twój zleceniodawca wychodzi na tego złego – stwierdził.

– No i właśnie o to chodzi. Dziś wszystkie gazety piszą o tej sprawie w tym tonie. A pośród tych wszystkich komentarzy i negatywnych opinii ginie zasadnicze pytanie o to, o co właściwie w tym wszystkim chodzi...

– A o co właściwie w tym wszystkim chodzi? – spytał Psoras.

– O podróbkę – odparła klacz. – I to wyjątkowo bezczelną.

Lake Shore rozsiadła się wygodnie i zaczęła opowiadać:

– Jakiś czas temu Manehattan Food Industries wypuściło partię przetworów warzywnych w identycznych opakowaniach i z identycznymi etykietami co produkty Horseshoe Foods. Minęło parę tygodni, zanim ktoś się spostrzegł. Oczywiście Horseshoe Corporation natychmiast pozwała firmę o naruszenie praw autorskich. I tu zaczęła się

moja rola. Szefowie oddelegowali mnie do tej sprawy, ale teraz mam wrażenie, że ona mnie przerosła...

– Czemu? Jeśli podróba rzeczywiście była tak bezczelna, to sprawa wydaje mi się ewidentna...

– Powiedziałeś, że jesteś z zagranicy – klacz obrzuciła Psorasa taksującym wzrokiem.

– Masz jakieś pojęcie o equestriańskim prawodawstwie?

– Zerowe – zgodnie z prawdą przyznał podróżnik.

– Muszę więc poinformować cię, że kwestie prawa autorskiego i patentowego w Equestrii nie są za bardzo uregulowane. Dla przykładu, zastrzeżliśmy sobie symbol podkowy, ale tylko jako znak firmowy. Musieliśmy jednak nieźle się rozpisać, żeby zastrzec tylko tak specyficzne użycie, bo jakbyśmy poszli po linii najmniejszego oporu, to wszyscy kowale w kraju musieliby zwinąć interes... W większości procesów o naruszenie praw autorskich wciąż decyduje opinia ławy przysięgłych. A jeśli oni czytają te gazety... – rozmówczyni Psorasa westchnęła głośno – ...no to mam przewalone. Rozprawa jest za tydzień, a jeśli do tego czasu prasa będzie dalej pisać w tym tonie, to przysięgli na pewno nie odpuszczą okazji, żeby dać nauczkę wielkiej, złej korporacji.

– Nie możecie sami dotrzeć jakoś do gazet?

– Oczywiście, że możemy. Nasz rzecznik prasowy zwołał konferencję i zaprezentował stanowisko naszej firmy oraz znane dane. Ale kto tam słucha rzeczników prasowych... Do tego słyszałam jakieś plotki o tym, że ci, którzy przekazują te rewelacje dziennikarzom, mają zamiar osobiście spotkać się z przysięgłymi.

– Serio?! A co to za lu... kuce miałyby być zainteresowane czymś takim?

– Podobno jacyś NLR-owcy czy coś takiego...

Psoras zamarł na chwilę z wzrokiem wbitym przed siebie.

– Zna ich pan? – zaciekawiła się Lake Shore.

– Może. Nie wiedziałem, że już są w stanie zrobić akcję propagandową na taką skalę... Przepraszam, muszę wyjść na chwilę – miłośnik kolei wstał i ruszył w kierunku przedsiönka.

Gdy Psoras był pewien, że nikt go nie widzi, stanął przy oknie, westchnął i patrząc na przesuający się krajobraz, powiedział głośno:

– Do Pana Boga, Celestii czy tego, kto zarządza tym całym bajzlem. Okej, zrozumiałem, dobra?! Dotarło! To już było zdecydowanie za dużo zbiegów okoliczności, żeby nie wydawało mi się to podejrzanym. Już wiem, że fabule nie ucieknę, bez względu na to, co będę robił. Dokończę swoją rolę w tej historii i spokojnie zajmę się zwiedzaniem. W porządku?!

Zgodnie z jego przewidywaniami jedynym, co usłyszał w odpowiedzi, był stukot kół wagonu.

– Proszę – odpowiedział znacznie bardziej błagalnym tonem. – Ja się o żadne przygody nie prosiłem, nie chcę ratować świata, nie chcę się wplątywać w jakieś dziwne afery. Ja w ogóle nie należę do tego świata! Chcę tylko zobaczyć, co on ma do zaoferowania... Panie Boże, albo pełniąca jego obowiązki księżniczko, bo nie wiem w końcu, jak to jest z tą boskością alikornów... daj mi kilka spokojnych dni. Proszę – szepnął na koniec.

Ponownie nic się nie stało.

– Aha, jutro będę w Ponyville – dodał jeszcze. – Jeśli ktoś chce, żebym ratował świat, niech mnie w to wplącze WTEDY. I zostawi w spokoju politykę, Crescenta, NLR, Horseshoe Corporation, metro, koleje equestriańskie i to wszystko, co w tym dziwnym

świecie uchodzi za normalność. A przede wszystkim – mruknął pod nosem – Coast Starlight i jej rodzinę...

Lake Shore ze zdziwieniem obserwowała zachowanie współpasażera, który teraz ponownie usiadł naprzeciwko niej.

– Przepraszam – powiedział. – Czy znam NLR-owców? Jednego znam... Wie pani, o co im chodzi?

– O co?

– O pieniądze. Jak zwykle. Manehattan Food Industries to jeden z ich największych sponsorów... Jeśli ten proces pogrąży tę firmę, zostaną pozbawieni źródła dochodów.

– Tylko tyle? – zapytała zdziwiona klacz. – Myślałam, że chodzi o jakiś ideologiczny sprzeciw przeciwko wielkim korporacjom dla samego sprzeciwu przeciwko wielkim korporacjom... A jakby Horseshoe Corporation przejęła rolę sponsora, to rozpropagowałiby prawdziwą wersję wydarzeń?

– Sądzę, że tak – odpowiedział miłośnik kolei.

– A mógłby pan zaaranżować spotkanie?

– Niestety, znam tylko dwoje członków NLR. Oboje są w Manehattanie i oboje trudno spotkać... Chwila – Psoras podniósł przednie kopyto do góry. – Mam pomysł. Pozwoli pani, że przejdę się po pociągu...

– Nie wiem, jak to może pomóc, ale okej – wzruszyła ramionami klacz. Niebieski ogier wstał ze swojego miejsca i ruszył wzdłuż wagonu.

Psoras uważnie przyglądał się współpasażerom, szukając pośród nich charakterystycznej postaci. Nie był pewien, czy ją znajdzie, ale w sumie nie zaszkodziło sprawdzić.

Doszedł do lokomotywy i zawrócił. Przeszedł po raz kolejny obok Lake Shore, która ponownie zajęła się przeglądaniem papierów, po czym dotarł do końca pociągu, nie znalazłszy tego, kogo szukał.

– Szkoda – mruknął sam do siebie. Przeszedł przez kilka wagonów, wrócił do swojego i wtedy ją zobaczył. Sunset siedziała w przegrodce zaraz obok tej, którą on sam zajmował. Najspokojniej w świecie czytała sobie „Geografa Equestriańskiego”.

– Ekhm... – chrząknął Psoras. Sunset opuściła gazetę i spojrzała na Psorasa.

– Cześć – powiedziała spokojnie.

Miłośnik kolei bez słowa skinął kopytem w zapraszającym geście i ruszył w kierunku przedsionka wagonu. Klacz odłożyła gazetę i ruszyła za nim.

Kiedy Psoras znalazł się w przedsionku sam na sam z Sunset, zamknął drzwi i bez ogródek spytał:

– Słyszalas?

– Słyszałam – potwierdziła klacz. – Bardzo sprytnie nie powiedziales nic o tym, że znasz kryjówkę Crescenta...

– Wiem, co należy mówić, a czego nie należy mówić. Zgodzisz się reprezentować NLR w rozmowach z Horseshoe Corporation?

– Nie jestem do tego upoważniona. Trzeba by się skontaktować z Pierwszym.

– Dałabyś radę zorganizować takie spotkanie?

– Musiałabym wrócić i opowiedzieć o tym, co się dowiedziałam, a to by trochę czasu zajęło...

– To wiesz co, pogadaj o tym z Lake Shore. Wtedy skończyłaby się moja rola w tej

sprawie i będę miał z tym spokój – uśmiechnął się Psoras, patrząc w sufit. – Przedstawię cię jako reprezentantkę NLR czy coś w tym rodzaju...

– Okej – zgodziła się po krótkim namyśle klacz.

– Lake Shore, to jest Sunset – powiedział Psoras. – Należy do NLR i może dałaby radę zaaranżować spotkanie z przywódcą tego ruchu...

– Dzień dobry – uśmiechnęła się pomarańczowa klacz z bordową grzywą.

– Witaj – odparła Lake Shore. – Jeśli chodzi o pieniądze, to nie ze mną trzeba gadać...

– Niech to, z tej strony też... – mruknął pod nosem Psoras.

– Naprawdę chodzi o pieniądze? – spytała prawniczka.

– Owszem – potwierdziła Sunset.

– No to co wy na to, żebyśmy w Fillydelfii poszli w trójkę do prezesa Horseshoe Corporation i obgadali to z nim?

– Do... prezesa? – zapytał zdziwiony Psoras. – To on nie urzęduje w Manehattanie, w Horseshoe Tower?

– Nie. Horseshoe Tower to główny budynek administracyjny. No i oczywiście reprezentacyjny. Ale siedziba prezesa mieści się w Fillydelfii.

– A po co ja wam do tego?

– Prezes na pewno chętnie pozna kogoś, kto przyczyni się przynajmniej częściowo do wygrania przez niego tego procesu. Bardzo zależy mu na firmie. Chce, żeby kuce utożsamiały Horseshoe z jakością...

– A ile to zajmie?

– Znając prezesa, to niezbyt długo.

– W porządku – odparł miłośnik kolei. – Aha, jeszcze jedno... w Fillydelfii są tramwaje?

– Są – odpowiedziała zdziwiona Lake Shore. – A co to ma do rzeczy?

– Nic zupełnie. Poza tym, że u prezesa będzie mi trudniej wysiedzieć – mruknął pod nosem Psoras.

Dworzec w Fillydelfii nie był aż tak imponujący jak w Manehattanie. Układem peronów przypominał nieco stacje byłego imperium austro-węgierskiego – przed dworcem stała na jednym szerokim peronie obszerna wiata, a pozostałe perony były bardzo wąskie i przeznaczone zasadniczo tylko do wsiadania, a nie do oczekiwania na pociąg.

Sam budynek dworcowy był całkiem spory, różowy i przyozdobiony w bardzo equestriańskim stylu – przypominał tort stworzony przez szalonego cukiernika o niesamowitej fantazji. Wielkie okna ukazywały oczom przybyszy wnętrze budynku, reprezentujące podobny styl co elewacja. Psorasa dopiero teraz uderzyło, jak surowa była architektura Manehattanu w porównaniu z resztą Equestrii. No, w każdym razie w porównaniu z Long Buckby, Fillydelfią i tym, co widział z pociągu.

– Idziemy od razu do biura prezesa? – spytała Lake Shore.

– Nie mam nic przeciwko – odparł Psoras, trzaskając fotkę budynkowi dworca. Sunset tylko wzruszyła ramionami.

– W porządku – prawniczka wyszła wraz z miłośnikiem kolei i członkinią NLR-u na wielki plac z fontannami zwieńczonymi rzeźbami kucyków. Poprowadziła ich do szerokiej alei, której środkiem jeździły tramwaje konne. Psoras strzelił fotkę jednemu z nich i przyjrzał się im uważnie. Były zrobione z drewna i pomalowane na kolor bordowy z różowymi detalami. Każdy był ciągnięty przez parę rosnących ogierów. Trójka kuców przeszła na drugą stronę szerokiej alei i zagłębiła się w wąską uliczkę między budynkami.

– O, tam mieści się siedziba prezesa – poinformowała Lake Shore, pokazując spory

budynek przed nimi. Uliczka celowała dokładnie w niego, a od jej wylotu najwyraźniej dzielił go spory skwer.

Budynek wyraźnie się wyróżniał pośród okolicznej zabudowy. Wysokością wprawdzie daleko było mu do standardów wieżowców Manhattanu, ale i tak wystawał znacznie ponad dachy sąsiednich kamienic. Odcinał się od nich również stylistycznie – wyłożony był ciemnym kamieniem i ozdobiony ponurymi rzeźbami, które nadawały mu dość złowieszczy wygląd, co podkreślały jeszcze ostrołukowe okna i sam kształt budynku, przywodzący na myśl zamczysko.

– Ciekawie wygląda – stwierdził Psoras, unosząc do oka aparat. – Jak się nazywa?

– Corporate Building – odpowiedziała Lake Shore. – Choć częściej mówi się na niego po adresie, czyli Corporation Street 1.

Hol wejściowy budynku robił nie mniej złowieszcze wrażenie niż jego wygląd zewnętrzny. Jakimś cudem udało się komuś uzyskać niebieskawy kolor podświetlenia sufitu, co w połączeniu z wyłożeniem z ciemnego kamienia tworzyło bardzo ponury nastrój, zwłaszcza że po wejściu Lake Shore i dwójki jej gości wielkie, żelazne drzwi zamknęły się z hukiem, odcinając całkowicie gwar ulicy. Kroki trójki przybyszy dudniły na kamiennej podłodze, gdy ci podchodzili do wysokiego kontuaru, za którym stał biały ogier w mundurze portiera.

– Do kogo? – zapytał ten grobowym głosem.

– Do prezesa Horseshoe Corporation – odpowiedziała Lake Shore.

– Kto?

– Lake Shore z kancelarii Lawful&Strict – odpowiedziała prawniczka – oraz Iron Track i Sunset, którzy byli pomocni.

Pośród całkowitej ciszy portier przeszedł dudniącym krokiem na zaplecze. Wyszedł stamtąd po chwili.

– Możecie iść – oświadczył takim samym głosem jak poprzednio. Lake Shore i dwa pozostałe kuce weszły do windy.

– Tu nie ma przycisków – stwierdziła Sunset, kiedy drzwi zamknęły się za nimi. Winda jednak samoczynnie ruszyła w górę.

– Pewnie centralnie sterowana – domyślił się Psoras. – Na jakiej zasadzie działa taka winda?

Klucze spojrzały na niego jednocześnie jak na dorosłego, żonatego ogiera, który właśnie spytał, skąd się biorą żrebaki.

– Nie rób sobie jaj – powiedziała prawniczka.

– Nie robię sobie jaj – odparł podróżnik. – Naprawdę nie wiem.

– Nie wiesz? – upewniła się Sunset. – Znasz zasadę działania rozrządu pary Horsingera, znasz na pamięć schemat manehattańskiego metra, potrafisz rozróżniać typy wagonów, orientujesz się w takich nowinkach jak kotły na parę przegrzaną... i nie wiesz, jak działa winda?

– Zgadza się – odpowiedział spokojnie Psoras. – Jak działa winda?

– Ech... Kabina podnoszona jest przez wysięgniki hydrauliczne, napełniane za pomocą pompy parowej... i to w sumie tyle.

– Dzięki za wyjaśnienie – odparł pogodnie miłośnik kolei.

Winda zatrzymała się z dźwiękiem dzwonka, a jej drzwi rozsunęły się. Ogier i klucze opuciły kabinę. Sunset i Psoras z ciekawością rozglądali się dookoła, podczas gdy Lake Shore pewnie ruszyła przed siebie.

Znajdowali się w ogromnym gabinecie, zajmującym całą powierzchnię piętra. Podłoga wyłożona była zieloną wykładziną dywanową, a tu i ówdzie stały rośliny doniczkowe. Przed nimi znajdowało się wielkie biurko, za którym siedziała niezwykle postać.

Psoras nie miał pojęcia, jak może wyglądać prezes Horseshoe Corporation, ale w życiu

nie przyszłoby mu do głowy, że jest on bizonem. Dokładnie ubranym w garnitur bizonem, siedzącym za biurkiem w ludzkiej pozycji. Na ogromnym blacie mebla leżało kilka kartek, stała też na nim niewielka lampka i tabliczka z napisem „Southwest Chief – prezes Horseshoe Corporation”.

– Dzień dobry, prezesie – przywitała się Lake Shore.

– O! Witaj, Lake – odpowiedział serdecznie bizon. – Kogo przyprowadziłaś?

– To jest Iron Track – powiedziała prawniczka, wskazując na Psorasa. – Powiedział mi, że jest w stanie skontaktować mnie z tym całym NLR-em, przez który mamy tak złą prasę, a także, że w całej sprawie chodzi tylko o pieniądze, bo Manehattan Food Industries to główny sponsor tej organizacji. A to jest Sunset – to mówiąc, wskazała kopytem na klacz – która należy do tegoż NLR-u i która może załatwić nam spotkanie z jego szefem.

– Naprawdę chodzi o pieniądze? – zapytał zdziwiony bizon. Lake Shore pokiwała głową.

– Cres... znaczy Pierwszy, nasz przywódca, nie lubi za bardzo wielkich korporacji... – zaczęła.

– Wcale mnie to nie dziwi – westchnął Southwest Chief. – Nikt nas nie lubi.

– ...ale ważniejsze jest dla niego finansowanie, więc byłby w stanie machnąć na to kopytem i odkręcić tę całą sprawę. Zwłaszcza że racja de facto jest po waszej stronie.

– Jeśli to całe zamieszanie było z waszego powodu, jestem pod wrażeniem waszej siły przebicia – stwierdził bizon z uznaniem. – A czym zajmuje się wasza organizacja? I co znaczy ten cały skrót NLR?

– Nowa Lunarna Republika – odpowiedziała Sunset najpierw na drugie pytanie. – Naszym celem jest informowanie opinii publicznej o błędach w polityce księżniczki Celestii, a w dalszej perspektywie przekonanie do wywarcia na nią presji, która spowodowałaby ostateczne rozwiązanie kwestii Celestii i oddanie władzy w nogi księżniczki Luny...

Lake Shore wyraźnie zbladła i sprawiała wrażenie, jakby nie mogła wykszusić słowa. Southwest Chief przysłuchiwał się temu ze spokojem.

– A czemu nie użyjecie w tym celu tej siły przebicia w prasie, którą już macie? – zapytał.

– Pierwszy twierdzi, że jeszcze nie czas. Że wiadomości o tym, jak złe są wielkie korporacje, bardzo łatwo rozprowadzać wśród dziennikarzy... ale nawrzucać samej Celestii to zupełnie inna sprawa – stwierdziła klacz. – A i samo społeczeństwo nie jest jeszcze gotowe. Konieczne jest stopniowe działanie i wychowanie nowego kuca, wolnego od starych, celestiańskich nawyków...

– W porządku – stwierdził prezes. – Pieniądze nie są dla nas problemem. Nasza firma ma ich tyle, że przez większość czasu, którego nie zajmuje mi przeciwdziałanie biurokratyzowaniu się korporacji, zastanawiam się, na co by je tu jeszcze wydać... Myślę, że będziemy mogli dojść do porozumienia. Tylko musicie mi udowodnić, że faktycznie macie taką siłę przebicia.

– Myślę, że da się zrobić – stwierdziła Sunset. – Ale musimy to uzgodnić na osobności...

– Się rozumie – odparł Southwest Chief.

– To... chcesz wspomagać finansowo organizację, która dąży do obalenia księżniczki Celestii?! – zapytała zszokowana Lake Shore, która najwyraźniej dopiero teraz odzyskała głos.

– Sorry Daring Do, ale biznes jest biznes – powiedział bizon, uśmiechając się półgębkiem do sufitu.

W tym momencie do gabinetu wkroczył sztywno ogier jednorożec w czarnym garniturze i z poważną miną, niosący przed sobą tacę z przykrywką. Stał obok prezesa i postawił tacę na biurku.

– A, właśnie! Iron Track – prezes skinął kopytem na Psorasa, który nieco niepewnie

podszedł do mebla – bądź łaskaw przyjąć ten dobry upominek...

Ogier w garniturze zaświecił swój róg, a przykrywka uniosła się. Na tacy leżały dwa bilety kolejowe – jeden pierwszej klasy na pociąg Fillydelfia – Baltimore, drugi zaś na prywatny jednoosobowy przedział klasy lux w pociągu nocnym Baltimore – Canterlot. Obok w gotówce leżała równowartość tych biletów na te trasy, które już były w posiadaniu Psorasa.

– Proszę – powiedział prezes. – To taki drobny upominek od firmy, za zaaranżowanie spotkania.

– Łał... Dziękuję – mruknął Psoras, wpatrując się w bilety.

– Nie ma za co. I tak nas to prawie nic nie kosztowało, pierwsza klasa i przedziały luksusowe na ogół jadą puste. Bierz pan śmiało...

Psoras wziął w pysk bilety i wsunął je delikatnie w szparę w obudowie aparatu.

– Dla ciebie, Lake Shore, też się coś znajdzie – stwierdził Southwest Chief. Prawniczka wciąż wpatrywała się w bizona zszokowana. Zapadła niezręczna cisza.

– To my chyba sobie już pójdziemy – powiedział w końcu Psoras i wepchnął do windy niestawiającą oporu Lake Shore, po czym sam zajął miejsce wewnątrz kabiny dźwigu. Drzwi się zamknęły.

– No to ustalamy szczegóły spotkania – stwierdził prezes, poprawiając krawat.

– Jak można chociażby *myśleć* o obaleniu Celestii?! – zapytała Psorasa oburzona Lake Shore, kiedy już maszerowali wspólnie wzdłuż Corporation Street. Wyglądało na to, że jest to główna ulica handlowa Fillydelfii – na parterze każdego budynku znajdował się sklep, a tłumy kuców chodziły ulicą, oglądały wystawy i robiły zakupy.

Podróżnik wzruszył ramionami. Najwyraźniej to, co Keystone i Maple Leaf uważali za normalne, niektórym kucom w ogóle nie mieściło się w głowie.

– U mnie w kraju władców wymienia się dość często i nikt z tego powodu nie narzeka – stwierdził lekceważącym tonem. – A dokładniej, nikt nie narzeka z powodu samej wymiany, ale wszyscy narzekają dlatego, bo każda następna ekipa okazuje się większymi patałachami od poprzedniej, choć przestało się to wydawać możliwe już ze dwie ekipy temu.

– No dobra, ale ci władcy nie są długowiecznymi alikornimi księżniczkami... albo książętami... o mocy magicznej wystarczającej do poruszania ciałami niebieskimi?

– Zdecydowanie nie. I całe szczęście – Psoras uśmiechnął się, gdy jego niesforna wyobraźnia podsunęła mu wizję Donalda Tuska jako alikorna (cutiemark: napis „23%”).

– Chyba jako obcokrajowiec nie do końca rozumiesz, dlaczego księżniczki są dla nas takie ważne – stwierdziła prawniczka. – Symbolizują ciągłość naszego państwa, są pewną stałą w zmieniającym się świecie. Punktem odniesienia. Wiele kuców twierdzi, że świat zmienia się na gorsze, ale wstają co rano z nową nadzieją i z myślą, że cokolwiek by się nie stało, na tronie siedzi Celestia, tak jak tysiąc lat temu. No i do tego księżniczki stanowią dla wielu osób wzór wartości moralnych...

– To już chyba prawie religia – mruknął Psoras do siebie.

– Oczywiście zdajemy sobie sprawę z tego, że nasze władczynie nie są nieomyłne, ale przecież nikt nie jest – kontynuowała Lake Shore. – Ale po prostu nie mieści mi się w głowie, jak można działać na rzecz „wychowania nowego kuca”, czyli uczynienia społeczeństwa kontestacyjnym wobec polityki księżniczek, aby potem, w decydującym momencie, doprowadzić do obalenia Celestii... A Southwest Chief chce ich wspierać?! I jeszcze mówi, że biznes jest biznes...

Nagle stanęła i rozszerzonymi oczami spojrzała na Psorasa.

– A skąd on wiedział, na które pociągi masz bilety?!

– Southwest Trains to część Horseshoe Corporation – wzruszył ramionami podróżnik.

– Ale jak kupujesz bilety, to nie mówisz, jak się nazywasz! Czyli... korporacje naprawdę szpiegują nas wszystkich – szepnęła Lake Shore, rozglądając się dookoła i szukając w tłumie przechodniów czegokolwiek, co wydawałoby się jej podejrzanym. – A do tego nie cofną się przed niczym, jeśli chodzi o ich własne dobro... Rany, co ja zrobiłam... Chciałam tylko, żeby prawda wyszła na jaw spod lawiny kłamstw, a sprzedałam się wielkiej, złowrogiej korporacji!

Prawniczka oparła się o ścianę i zasłoniła oczy kopytami. Psoras stanął przy niej.

– Eee... Lake Shore... ja płaciłem za te bilety czekiem Horseshoe Banku, wystawionym na mnie – powiedział kuc powoli. – W tym naprawdę nie ma jakiejś wielkiej tajemnicy...

Lake Shore nie zareagowała. Miłośnik kolei myślał intensywnie. Rozejrzał się po ulicy i zauważył tramwaj, który akurat zwalniał, zbliżając się do dużej grupy oczekujących na niego kuców. Psoras nie zauważył nigdzie żadnego znaku mogącego oznaczać przystanek, ale wiedział, że nawet w jego świecie oznaczenie przystanków często rozwiązywane było zupełnie inaczej niż w Polsce. Grupa oczekujących pasażerów była natomiast wskaźnikiem uniwersalnym.

– Potrzebujesz czasu, żeby ochłonąć i przemyśleć całą sprawę. Chodź, przejedziemy się tramwajem – zaproponował kłacz. Ta nic nie odpowiedziała, ale dała się zaprowadzić do tramwaju i stanęła w kolejce, jaka uformowała się przy przednich drzwiach. W końcu nadeszła jej kolej.

– Dwa bity proszę... – powiedział konduktor. Prawniczka nie zareagowała.

– Ja płacę za nas oboje – stwierdził miłośnik kolei, wręczając konduktorowi cztery monety. – Ona jest dziś trochę rozkojarzona.

Wewnątrz wagonu były dwie długie drewniane ławki, ustawione oparciami do okien. Lake Shore usiadła na jednej z nich. Psoras zajął miejsce obok i zajął się obserwacją miasta, od czasu do czasu robiąc zdjęcia budynkom, .

Fillydelfia miała dużo mniej wspólnego z Filadelfią niż Manehattan z Manhattanem. W tym mieście w zasadzie nie było wieżowców, za to nie brakowało szerokich alej, na środku których rosły szpalery drzew i kępy krzewów osłaniające parkowe ławki. Psoras kojarzył to rozwiązanie głównie z miast byłego Związku Radzieckiego (a także z wrocławskich ulic Powstańców Śląskich i Hallera), ale bynajmniej nie z Filadelfii. Nigdzie nie było też widać charakterystycznej bryły filadelfijskiego ratusza, który wypełniał prawie cały plac. No i oczywiście stylistyka miasta była wyjątkowo cukierkowa, ozdobna i kiczowata.

Dalej od centrum budynki robiły się niższe, ale bynajmniej nie mniej ozdobne. Dopiero na końcowym odcinku, na którym Psoras i Lake Shore jechali jako jedyni pasażerowie w tramwaju, architektura zaczęła przypominać Long Buckby, razem z krzywymi ścianami i pruskimi murami.

– Flankford! Przystanek końcowy, wysiadać proszę! – zawołał konduktor. Psoras podniósł się z siedzenia i razem z Lake Shore opuścili wagon. Dwa rosłe kuce ziemne odciągnęły tramwaj na pętlę, a miłośnik kolei rzucił okiem na swój zegarek. Jeśli chciał być wieczorem w Baltimore, musiał wracać tym samym tramwajem.

– Przemyślałaś już sprawę? – spytał swoją towarzyszkę, idąc na przystanek dla wsiadających.

– Ech... Po prostu nie wiem, co zrobić – Lake Shore zwiesiła głowę.

– Nie podoba ci się to, co robi NLR, ani też fakt, że Horseshoe Corporation ją wspiera?

– Tak!

– I masz kaca moralniaka, bo wydaje ci się, że sama do tego doprowadziłaś?

– Tak!

– Moim zdaniem nie ma się co przejmować. Celestia sobie poradzi – stwierdził z przekonaniem Psoras. – W końcu ma ponad tysiąc lat doświadczenia na stanowisku i nikt nie wciśnie mi kitu, że nigdy nikt nie próbował jej obalić.

– Nie byłabym tego taka pewna – prawniczka wyglądała na poważnie zaniepokojoną. – Owszem, było wiele prób obalenia jej władzy, ale zwykle na drodze bezpośredniej konfrontacji, a nie podstępного oddziaływania na opinię publiczną...

– To co powiesz na takie rozwiązanie: sprawę Horseshoe Corporation poprowadzisz zgodnie z najlepszymi tradycjami swojego zawodu, tak żeby prawda stanęła przed przysięgłymi w całej swej okazałości, a jednocześnie założysz własną organizację przeciwdziałającą NLR-owi? Powiedzmy... – Psoras udał, że zastanawia się nad nazwą – ...Imperium Solarne? Mogłabyś zdemaskować dalekosiężne cele NLR-owców i działać *przeciwko* „wychowywaniu nowego kuca”. No i miałabyś jedną przewagę nad nimi – mogłabyś to robić stuprocentowo jawnie, bo w końcu nie robiłabyś niczego nielegalnego...

– Przecież oni też nie robią niczego nielegalnego – zauważyła ze zdziwieniem Lake Shore.

– Wiem. Ale działają tak, jakby Celestia mogła w każdej chwili wysłać ich przywódcę na księżyc – stwierdził Psoras, uśmiechając się półgębkiem. – Mam wrażenie, że po prostu mają skłonności do kombatanctwa i tyle...

– A skąd wzięłabym pieniądze? A co z rekrutacją członków?

– Nie od razu Canterlot zbudowano. NLR-owcy też pewnie nie uzyskali obecnej siły przebicia w ciągu jednej nocy. Trochę by ci to pewnie zajęło... ale jeśli tak bardzo ci zależy na Celestii, to myślę, że dasz radę.

– Hm... przemyślę to – powiedziała Lake Shore.

Tymczasem na przystanek podjechał tramwaj – ten sam, co poprzednio. Ciągnęła go już nowa zmiana kuców pociągowych, ale konduktor był ten sam.

– O, państwo z powrotem? – zapytał zdziwiony, inkasując należność – Widzę, że zdecydował się pan zabrać narzeczoną na romantyczną przejażdżkę tramwajem...

Lake Shore zachichotała – po raz pierwszy, odkąd Psoras ją spotkał. Miłośnik kolei wyrócił oczami.

– Dlaczego wszyscy chcą mnie ze wszystkimi shipować na tej wycieczce? – mruknął sam do siebie.

Psoras był teraz naprawdę zadowolony z wcześniejszej decyzji o zjedzeniu obiadu na śniadanie. Gdy tramwaj podjechał przed dworzec, do odjazdu jego pociągu zostało dziesięć minut, czyli zdecydowanie za mało, żeby starczyło na zjedzenie czegokolwiek.

– No to do widzenia – powiedział miłośnik kolei do Lake Shore.

– Do widzenia – odpowiedziała prawniczka.

– Powodzenia w walce z NLR-em i w obronie Horseshoe Corporation.

– Miłego zwiedzania Equestrii.

– A dziękuję, dziękuję – uśmiechnął się Psoras i wszedł do budynku dworca. Zdążył w samą porę – pociąg do Baltimore właśnie zahamował przy peronie.

Miłośnik kolei pokazał konduktorowi otrzymany od Southwest Chiefa bilet i już chwilę później rozwalił się wygodnie na obszernym fotelu w wagonie pierwszej klasy, który jechał jako ostatni w składzie.

– Nareszcie. Już mi zad drętwiał od tych drewnianych ławek... – mruknął do siebie.

Pociąg ruszył. Odległość od parowozu i dobrze wyciszone łożyska sprawiały, że jazda była prawie bezgłówna, a długi łańcuch wagonów prawie całkowicie tłumiał szarpanie parowozu.

Na stoliku przed fotelem leżała jakaś kartka. Psoras wziął ją i przeczytał. Było to menu obiadowe z takimi pozycjami jak burgery sojowe, sianofrytki, surówka ziołowa, sałatka wegetariańska czy zupa jarzynowa. Jednak miłośnika kolei najbardziej zaintrygował

dopisek na dole: „W wagonach pierwszej klasy obiad wliczony jest w cenę biletu”.

– Chyba mi się przytyje na tej wycieczce – stwierdził.

Dwie godziny później najedzony Psoras opuszczał pociąg w Baltimore.

Ponieważ był zdania, że wszystkiego należy w życiu spróbować, w pociągu zamówił burgery sojowe z surówką ziołową i sianofrytkami. Połączenie to okazało się zaskakująco smaczne, przynajmniej dla kuca, ale za to wyjątkowo ciężkie. Miłośnik kolei miał wrażenie, że jeszcze trochę jakiegokolwiek jedzenia i żołądek mu eksploduje.

– Kolejny dzień, kolejna stacja – mruknął do siebie, rozglądając się po Baltimore. – Wreszcie sam, wreszcie żadnych tajnych spisków, żadnych dziwnych stowarzyszeń, żadnych wielkich korporacji i żadnego wywracania Equestrii do góry nogami... Dziękuję – dodał, uśmiechając się i patrząc w niebo.

Dworzec stylistycznie podobny był do fillydelfijskiego, a choć prawdopodobnie różnił się od niego znacznie jeśli chodzi o rozmieszczenie okien czy rozwiązanie konstrukcji dachu, robił prawie identycznie wrażenie ze względu na wszechobecne cukierkowe ozdóbki.

Zupełnie inny był za to układ peronów. Właściwie trudno było tu mówić o układzie – peron był tylko jeden, tak jak jeden był tor przy nim. Oznaczało to, że na dworcu mógł na raz stać tylko jeden pociąg i Psoras zachodził z głowę, po co tak drastycznie ograniczono przepustowość, skoro miejsce pod większą ilość peronów stało odłogiem i zarastało trawą (starannie i równo skoszoną) zaraz obok dworca.

Częściowym rozwiązaniem tej tajemnicy mógł być fakt, że kawałek za dworcem tory kolejowe nurkowały w tunelu. Tunel był jednotorowy i zdecydowanie za wąski, aby można było położyć w nim również drugi tor. Sądząc z położenia okolicznych budynków, przeprowadzał on pociągi pod wzgórzem, na którym znajdowało się centrum miasta.

Miłośnik kolei zrobił fotkę tego niecodziennego rozwiązania, wzruszył ramionami i ruszył na miasto.

Baltimore robiło zupełnie inne wrażenie niż Fillydelfia.

Architektura była podobna (to jest kiczowata jak wszyscy diabli), ale inaczej rozmieszczona. Nie było tu szerokich alei z zielenią pośrodku, tylko normalne miejskie ulice, czasami wyjątkowo wąskie i zatłoczone. Miasto leżało na łagodnych pagórkach, co dodawało mu uroku. No i przede wszystkim w samym jego środku znajdował się basen portowy, który wcinął się około kilometra w głąb lądu i w którym przeglądały się nadbrzeżne budynki. Kotwiczyły na nim niezliczone statki żaglowe i parowe, a kuce-tragarze nosiły po trapach ciężkie skrzynie wyładowane różnymi towarami. Tu i ówdzie Psoras widział kuce-żeglarzy z sążnistymi bokobrodami (i przy okazji zastanawiał się, jak udało im się te bokobrody wyhodować – jakaś maść na porost sierści?). Drewniane w większości statki skrzypiały przy każdym poruszeniu, a czasem trzepotały żaglami. Ich maszty tworzyły gęsty las nad powierzchnią basenu portowego.

Podróżnik szedł po nabrzeżu, chłonąc ten całkowicie nowy dla niego widok i od czasu do czasu robiąc zdjęcia. Był on już wprawdzie kilkakrotnie w Gdyni czy Szczecinie, ale nowomodny port morski, z surowymi, betonowymi nabrzeżami, wielkimi statkami towarowymi ze stali i tysiącami kontenerów stojącymi jeden na drugim był czymś zupełnie innym od tego, co w tej chwili rozpościerało się przed jego oczami. Psoras czuł się tak, jakby wsiadł w wehikuł czasu i nagle znalazł się w jakiejś awanturniczej, osiemnastowiecznej opowieści o piratach. Albo przynajmniej w książce „W 80 dni dookoła świata”.

Doszedł do końca nabrzeża, gdzie przez dłuższy czas stał, patrząc w dal i obserwując

statki wchodzące do portu i wychodzące z niego. Grzywę rozwiewała mu morska bryza, a na pysku widniał uśmiech. Był szczęśliwy – zwiedzał zupełnie nowy świat, całkiem sam, a do tego wszystko wskazywało na to, że fabuła wreszcie się od niego odczepiła. Był wolny. Nareszcie.

W końcu zawrócił i przeszedł wzdłuż nabrzeża z powrotem. Mniej więcej w połowie jego długości zobaczył niewielki ceglany budynek o dość surowym jak na equestriańskie standardy wyglądzie. Przez jego drzwi prawie cały czas ktoś przechodził, a na drewnianym szyldzie napisane było „Tawerna Pod Bocianim Gniazdem”.

– Prawdziwa portowa tawerna... – szepnął do siebie z zachwytem charakterystycznym dla turysty, któremu udało się znaleźć coś stuprocentowo autentycznego i charakterystycznego dla miejsca, w którym się znajdował. – Może by wejść do środka?

Zastanowił się przez chwilę.

– Nie – powiedział wreszcie sam do siebie. – Jeszcze spotkam jakiegoś tajemniczego kuca w szacie z kapturem, który zdradzi mi tajemnicę, od której zależą losy królestwa... Albo jakiś stary, jednooki i trójnogi marynarz opowie mi straszną historię, która w jakiś sposób będzie się wiązała z moimi dalszymi losami... Albo rozpęta się bójka, w której zupełnie przypadkowo stanę po stronie kogoś, kto będzie chciał mi się odwdzińczyć jakimś potężnym magicznym artefaktem... Dziękuję, postoję – mruknął, idąc w kierunku miasta. – Nie dam się więcej złapać przygodom.

W Baltimore nie było tramwajów, tylko omnibusy. Psoras zastanawiał się przez chwilę, czy nie przejechać się takim, ale dość szybko zrezygnował z tego pomysłu. Jeśli coś nie poruszało się po szynach, to właściwie nie było po co tym jechać. Zamiast tego ruszył więc przed siebie na piechotę, wspinając się na górkę w kierunku widocznego między budynkami sporego placu.

Plac okazał się być miejskim rynkiem. Oprócz sporej bryły ratusza (który wyglądał jak ratusz zamojski skrzyżowany z barokowym kościołem i tortem weselnym) było tu wiele wąskich kamieniczek i niewielki skwerek z zielenią, który najwyraźniej służył jako coś w rodzaju miniaturowego Hyde Parku. Na skrzynkach z obowiązkowym napisem „SOAP” (Psoras aż się wyszczerzył sam do siebie, jak to zauważył – jakie to oklepane...) stało kilka kuców i przemawiało.

– Dość wykorzystywania pracowników przez pracodawców! – krzyczał pierwszy. – Musimy wziąć sprawy w swoje kopyta! Dlatego zachęcam was, abyście podpisali petycję, w której uprzejmie prosimy księżniczki o zajęcie się tą sprawą i podniesienie podatków dla przedsiębiorców, aby przeznaczyć je na zasiłki dla najbiedniejszych...

– Trzeba poprawić sytuację gospodarczą kraju! A najlepiej to zrobić poprzez obniżkę podatków! – perorował drugi z mówców. – Niższe podatki dla przedsiębiorców to większa liczba miejsc pracy!

Wokół obu kuców zgromadził się spory tłum, który pełnymi entuzjazmu okrzykami dopingował prelegentów. Kawałek dalej stał samotnie trzeci mówca. Psorasa zaskoczył fakt, że w przeciwieństwie do dwóch poprzednich, tego nikt nie słuchał. Podeszedł bliżej i zastrzygł uszami. Kiedy dobiegł go głos kuca, jego oczy rozszerzyły się, a kopyta wmurowało w ziemię.

– ...czy wiecie, że *Sonic Rainboom* to tak naprawdę rozpylane w powietrzu kropelki ropy naftowej? Księżniczki stoją na czele wielkiego spisku, który ma za zadanie podtruwać regularnie nas wszystkich...

Psoras natychmiast odwrócił się i odmaszerował.

– Nie dam się w to wrobić po raz drugi – mruknął sam do siebie, po czym uśmiechnął się do myśli, która przyszła mu w tym momencie do głowy. – A tak swoją drogą, jeśli ten tutaj jeszcze nie jest na księżycu, to Crescent nie ma się czego bać...

Słońce zachodziło już za wzgórzami i rzucało przez przełęcz ciepły blask na basen portowy. Psoras, schodzący ze wzgórza, miał przepiękny widok na ten wspaniały spektakl natury. Szedł już w kierunku stacji kolejowej – zbliżał się czas odjazdu jego pociągu i trzeba się było zbierać.

Kiedy dotarł do budynku stacyjnego, natychmiast stanął i zaczął się rozglądać za koszem na śmieci, aby mieć na czym postawić aparat podczas robienia zdjęcia na długim czasie. Musiał bowiem przyznać, że choć w dzień dworzec był niemiłosiernie, przesadystycznie kiczowaty, to nocą wyglądał przepięknie. Jego witrażowe częściowo okna były rozjaśnione, a fasada umiejętnie podświetlona – rzeźbienia były wyeksponowane, ale w taki sposób, że nagle wydawały się o wiele bardziej gustowne.

Podróżnik znalazł w końcu skrzynkę na listy, postawił na niej aparat, wykonał zdjęcie i wszedł do budynku. Nocny do Canterlot przez Ponyville (w którym Psoras nie miał najmniejszego zamiaru się zatrzymywać) stał już przy jedynym peronie. Przy wyjściu na niego stał ogier jednorożec w mundurze konduktora.

– Dzień dobry – przywitał miłośnika kolei z uprzejmym uśmiechem na pysku. – Bilet proszę.

– Dzień dobry – odpowiedział Psoras, wręczając mu bilet. Konduktor podniósł go i przyjrzał mu się, unosząc z uznaniem brwi.

– O, klasa luks? Widzę, że jest pan bogatszy, niż pan wygląda...

– To prezent – wyjaśnił szybko podróżnik.

– Aha. W porządku. To będzie w ostatnim wagonie, przedział D.

– Dziękuję.

Jednoosobowy przedział klasy luks był bardzo obszerny. Miał nawet własny prysznic i toaletę – to ostatnie bardzo zaskoczyło Psorasa, albowiem sądził on wcześniej, że wszystkie equestriańskie pociągi są tego urządzenia pozbawione. Szerokie i długie łóżko było w pełni pościelone na sposób amerykański – wełniany koc nie był włożony do poszewki, tylko oddzielony od ciała bawełnianą płachtą.

Miłośnik kolei zamknął za sobą drzwi na zasuwkę i ostrożnie odłożył na półkę aparat. Pociąg łagodnie ruszył przed siebie. Za oknem migają latarnie, przynajmniej do momentu, w którym Psoras zaciągnął rolety na oknach. Podróżnik wziął prysznic, otrzepał się do sucha w kabinie, umył zęby i zaczął się szykować do pójścia spać.

Już miał wejść do łóżka, gdy nagle jego uwagę zwróciła klamka zamocowana na ścianie przedziału. Zaciekawiony, co też ona może robić, chwycił ją i przekręcił.

Ściana odjechała nagle na bok. Ukazało się wnętrze drugiego przedziału. Zajętego.

– Ups, przepraszam! – zawołał Psoras. – Nie wiedziałem, że to się w ten sposób...

Przerwał i tępy wzrokiem spojrzał na klacz, którą, przykryta kocem, leżała w łóżku po drugiej stronie przegródki.

– Nic nie szkodzi – odpowiedziała Derpy. – Chcesz może muffinkę? Nie lubię jeść sama...

Psoras bardzo rzadko przeklinał. Ale jeśli już, to na całego.

– FABUŁO, KURWA TWOJA JEBANA MAĆ, ODPIERDOL SIĘ ODE MNIE, DO CHUJA CIĘŻKIEGO!!!